



---

NADZWYCZAJNE  
przygody Stacha z Popław.

---

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wzneszcz  
Al.Gen.J.Hallera 14



111072





**Nadzwyczajne przygody Stacha z Poptaw.**

K. 142 / 82



111072

## I.

Za króla Augusta III, czleka pocziwego, ale króla bardzo niedołężnego, we wsi Popławach szlachta drobna roila się jak mrowie, a co zagroda, to siedział na niej Popławski i nie dał sobie, jak to mówią, w kaszę dmuchać. Pomiedzy nimi Marcin Popławski nie był ostatni, a chociaż fortuna jego roli ornej mało posiadała i zaledwie przy ciężkiej pracy jako tako wyżywić mogła, buty mu nie brakowało i zawsze mawiał: że szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie, a jak fortuna dopisze, to i królem zostać może. Choć więc około roli za pługiem chodził boso, w płótniakach i w kapeluszu słomianym, głowę jednak nosił górą

i wása hardo pokręcał, jak pan Cześnik Stawuski, pan licznych włości, z którym w szczególnej żył zażyłości. Pan Marcin wprawdzie jako chudzina, przy powitaniu zawsze się chylił aż do kolan, pan Stawuski jednak podawał mu rękę i panem bratem tytułował.

Raz pan Marcin na sejmiku, które w owym czasie były bardzo burzliwe, zrobił wielką przysługę Cześnikowi. Odbywały się one zwykle w kościele, aby przez wzgląd na miejsce święte, zgromadzona szlachta hamowała swoją zapalczywość. Było to mądre bardzo rozporządzenie, dowodzące jak przodkowie nasi znając swoją naturę porywczą, sami na siebie kładli pęta, aby nie wyjść z granic umiarkowania. Niezawsze to jednak zabezpieczało od burd i bijatyki. Oświata narodu wówczas była bardzo mała: wioskowa szlachta za ledwie pisać i czytać umiała, a drobna utnij łeb nie znała i jednej litery. Pan Marcin Popławski jednak nie był takim prostakiem, umiał się modlić z książki i jak nawet wypadło, choć kulasami, podpisać swoje nazwisko. Sprytny przytem i ciekawy, w rozmowach z panem Cześnikiem, człekiem znacnym i jak wówczas bardzo światłym, dowiadywał się o sprawach publicznych, o różnych dolegliwościach ojczyzny, i wzdychając,



wszystko to bardzo rozsądnie rozważał i nieraz zadziwił zrobioną uwagą.

Otóż raz Cześnik na sejmiku, nie mogąc szlachty doprowadzić do zgody, przyciął jej, zarzucając ślepotę na własne i ojcyste dobro. Powstała stąd wrzawa, przycinki, tumult, i od słowa do słowa przyszło do tego, że Cześnik zakrzyczany cichaczem wysunął się ze świątyni na cmentarz. Ruszono zaraz za nim, dognało, wydobyto kordy i byłoby z Cześnikiem źle wypadło, gdyby nie Marcin Popławski, który zasłaniając go, obnażył piersi i nie podnosząc oręża, zawołał:

— Panowie bracia, oto macie pierś moją, bo do pana Cześnika tylko po moim trupie dojdziecie, ale nim w nią ugodzicie, spojrzycie, gdzie jesteście! Toć to cmentarz, poświęcona ziemia a w niej prochy naszych ojców, czyż się nie lękacie zbeszcześcić ich krwią niewinnie przelaną?

Szlachta stanęła słupem.

— Prawdę mówię, — ozwało się kilka głosów, — byłaby to profanacja godna kary Bożej, niechże nas Bóg strzeże od tego!

Przez ten czas szlachta ostygła; Cześnik co prawda oberwał krwawego guza nim nadbiegł p. Marcin,

ale choć z głową owiazaną, wrócił do domu bez żadnego już szwanku.

— To człek rozumny,—rzekł p. Marcin,—a takich szanować należy, ho krzywda jemu wyrządzona to jak rana zadana ojczyźnie.

Po udobruchaniu szlachty, pan Marcin zaraz się wymknął do Cześnika, bo był niespokojny czy się z nim w tej rozprawie bardzo złego co nie stało. Rana w głowę zadana nie była niebezpieczna, ale dotkliwa. Ostrze kordu rozcięło skórę aż do czaszki i zsunęło się bokiem około ucha, kalecząc policzek. Cześnik, zapuchnięty i plastrem obłożony, siedział w opończy ze smutnie zwieszoną głową.

— Bóg ci zapłać, panie bracie!—rzekł do witającego go Marcina—za obronę z jaką pospieszyłeś. Wi-nieniem ci życie i wedle możności wywdzięczę się za to...

— Mała to usługa, mości Cześniku!—przerwał Marcin,—braterska pomoc i nic więcej, ale mi smutno że w takim zdarzeniu wypadła. Bo co z tego wyniknie, gdy zamiast radzić, będziemy się tylko wadzić i zęby na siebie wyszczerzać?

— Otóż to bieda największa—odrzekł Cześnik ze smutkiem,—że nie ma baczości na to co przynależy. Wszystko się rozpada, wszystko idzie w ruinę, wszystko nagli do zaprowadzenia nowego ładu, a większość narodu trzyma się uporczywie starego obyczaju.

— Ślepotą, mości Cześniku!—odrzekł p. Marcin, ale i ze ślepoty leczą doktorzy, czyżby takich brakło w narodzie?

— Są, mój panie Marcinie, ot, wy i ja nie chwając się, patrzymy na wszystko innemi oczami: jest także i wielu innych podobnych, ale co to pomoże, kiedy król August niedołęga, magnatowie o sobie tylko myślą, a cała szlachta ciemna jak tabaka w rogu. Prawda, że mamy spokój, że wszyscy rozumieją to, iż trzeba nam silnego rządu, zjednoczenia, wykonywania wyroków i postanowień rządu, wreszcie licznego wojska, ale cóż z tego, kiedy jak na sejmach przyjdzie do narady, zawsze się znajdzie przekupiony zdrajca przez króla pruskiego, który jednym słowem zrywa je i udaremnia wszelkie usiłowania rozumnych i poczciwych.

— To zdrajcom kneble w pyskach poobsadzać! wrzasnął pan Marcin.

— Wolność głosu, to dawne nasze prawo!—odrzekł Cześnik—zniszczyć je niełatwo. Co prawda, krzątają się ludzie poczciwi i rozumni około ukrócenia tej swawoli, ale i między niemi jest rozdwojenie. Gdyby nie sąsiedzi, danoby sobie radę, bo nie ma jednego człeka w kraju, któryby nie przyznawał, że się źle dzieje i że trzeba na gwałt, aby było inaczej. Gdy jednak przychodzić coś zaczyna do ładu, zaraz to z tej to z owej strony obcy nos wtyka, i wszystko popsuje.

— To mu go uciąć: niech nie pcha nosa do cudzego trzosa!—znowu krzyknął pan Marcin.

— Żebyć to można,—odparł Cześnik,—ale na to trzeba siły a my jej nie mamy.

— Oj! to źle!—mruknął p. Marcin.

— Źle i bardzo źle, a naszym dziatkom jeszcze będzie gorzej, ale i pociechy nie brakuje. Gdy posiew, choć na oko zginiony, zaczyna się odmładzać, to obiecuje plon w lecie bardzo obfity. Teraz to samo się dzieje z nami. Powiadają, że za króla Sasa: jedz, pij i popuszczaj pasa, a o resztę nie pytaj. Tak wszyscy mówią głośno — z pozoru zdaje się, że rozumnej myśli nigdzie nie znajdzie, ale to fałsz. Każdy w sumieniu swoim pragnie poprawy i ogląda się na rozumniej-

szych a ci suszą głowy, aby wynaleźć lekarstwo. Wielka to rzecz, gdy tacy ludzie znajdują się — dowodzi to wielkiej siły życia narodu a to wiele znaczy.

Cześnik wkrótce wyleczył się; szlachta, jakby wstydząc się sejmikowej burdy, przy spotkaniu w przejeździe czapkowała mu, Cześnik odwzajemniał się równą grzecznością a Marcina Popławskiego wziął do siebie na podstarościę, czyli pomocnika w zarządzie licznych swych włości. Zaczęło się p. Marcinowi lepiej dziać, porzucił bosaki, porciane ubranie, chodził zawsze w kapocie i w butach z cholewami pod kolana, a wąż tak podkrecał, że mu stały jak dzidy, aby nadać sobie poważniejszą postać i być choć niemi do Cześnika podobnym.

I służył tak przeszło lat piętnaście, a zawsze wiernie, z czujnością nad dobrem pańskim i zawsze przy boku Cześnika na wszelkich zgromadzeniach sejmikowych, popierając jego rady i broniąc od gniewu szlachty, gdy prawda kolnęła ich w oczy. Cześnik jako człek równie poczciwy, wynagradzając wierne służby Marcina, w dzień jego święta ofiarował mu na wiązanie jedną ze swoich wiosek Stawiska, i stwier-

dził to piśmiennym dowodem wraz z podpisem przy wyciśnięciu herbowej pieczęci.

Pan Marcin objawszy wioskę w posiadanie, zaraz sobie sprawił lepsze ubranie: w dniu powszednie kapoty nie porzucał, ale w święto ubierał się w kontusz błękitny z wylotami i jechał do kościoła w taradajce z uprzążonej w dwa tłuste gniade mierzyny, bo takimi jeździł zwykle Cześnik, tylko na wielkie gale okazałej występując.

Przez czas jednak swej służby pan Marcin dotknięty został wielkiem nieszczęściem: stracił żonę i pozostał mu tylko jedyny syn Stach, kubek w kubek do Ojca podobny. Gdy się przenieśli do Stawisk, Stach kończył ósmnasty rok życia; nie był tak rozrosły jak Ojciec, ale był barczysty, krzepki, zdrów jak ryba a zręczny do wszystkiego, do czego tylko rękę przyłożył. Konia nie było, co by go nie ujeździł, choćby najdzikszego, ptaki w lot strzelał, choćby jaskółki, zwierzę w kniei, byle go wziął na oko, już był jego, a przytem wytrwały na głód, trud, niewywczas i niewygoda, dzidą umiał wywijać, jak najlepszy kawalerzysta, a pałaszem rąbał tak wprawnie, że mógłby się z tem popisować, choćby przed samym królem. Ale zato nie posia-



dał żadnej nauki i zaledwie umiał nienajgorzej czytać, wodzić piórem po papierze i stawiać kulasy, których często sam nie umiał odczytać. Nie frasowała to jednak ani jego, ani ojca, który zawsze mu mawiał:

— Nauka dobra, ale gdy poczciwość w duszy a ręka wprawna do wojaczki, to ci chleba nigdy nie braknie. Pamiętaj tylko zawsze o tem, żeś szlachcic, który na zagrodzie równy wojewodzie, obiera królów i sam królem może zostać. Tego nie spuszcza nigdy z pamięci i jako prawdziwy szlachcic od dziada pradiada zawsze szlachetnie myśl, mów i działaj, i zawsze śmiało rznij prawdę, choćby gorzka jak piołun, a o resztę nie pytaj!

Nauka ta, często powtarzana, tak się wbiła w pamięć Stacha, że jej jak pacierza nauczył się na pamięć i często sam sobie powtarzał.

Na nowem jednak dziedzictwie szczęśliwość ta niedługo trwała; dwa lata bowiem zaledwie przeszło, gdy Cześnik umarł, a że był wdowcem bezdzietnym, zjechali się krewniacy i jak zaczęli się dzielić pozo-  
stałem po nim mieniem, tak pana Marcina wygnali ze Stawisk, powiadając, że nieboszczyk nie mógł rodzin-  
nego swego gniazda, od którego poszło nazwisko Sta-

wiskich, darować na dziedzictwo, tylko je oddał w użycie przez czas życia swego, a dokument został sfałszowany. Pan Marcin, czując się niewinnym, oburzony nietyle obdarciem go z własności jak zarzutem fałszu, przeniósł się do swej dawnej chudoby, a że miał oszczędzonego sporo grosza, zaczął dochodzić praw swoich i sprawę oddał do sądów.

W owym jednak czasie za poczciwego króla Augusta III, nie było najmniejszego porządku. Wszystko fermentowało, wrzało, w myślach kiełkowało nowe urządzenie, ale nie miało jeszcze mocy, dopiero tych myśli, pragnień i niejako poczuć, zielenił się jakby zasiew na lepsze, obfity plon w przyszłości obiecujący. Przy takim rozstroju nie było i sprawiedliwości — siła wszędzie przed prawem górowała, w zamęcie bowiem takim zwykle złe wypycha się, aby wszystko wyzyskiwać, a dobre z ubolewaniem nad ogólnym upadkiem, zamyka się w ciszy swego ducha, aby brudami innych i siebie nie powalać. Sądy też ze złych ludzi złożone, nie mogąc przeciw panu Marcinowi wyrokować, bo sprawa jego była czystą bez żadnego zarzutu, starały się ją odwlekać, i wiele razy przywołaną została, przeciwnicy z wielkim krzykiem wołali, iż skarżący pán



Marcin jest nieobecny. Wprawdzie krzyczał i on, że się znajduje we własnej osobie, ale go zakrzyczano, a jak pchał się do kratki, nie dopuszczono, i tak manewrowano że go zawsze za drzwi wysunięto. I tak zeszedł przeszło rok czasu. Pan Marcin gryzł się tem, Stach chciał szabelką dochodzić prawa, ale mu ojciec zabronił, powiadając: że złego z własnej nawet krzywdy nie należy powiększać, tylko czekać, aż samo padnie i dobre na niem stanie. Ale to gryzenie w duszy podkopało bardzo zdrowie pana Marcina, zachorował obłożnie, wychudł jak szczapa, zestarzał się, wąsy mu opadły, widocznie chylił się ku końcowi.

A tu przyszła znowu wiadomość, że sprawa zostanie przywołaną do sądenia. Pan Marcin pomyślał i rzekł z łoża boleści:

— Stachu, zaniesiesz mnie jutro na sądy. Pragnę sprawiedliwości nie dla siebie, bo już chyłę się ku zachodowi; nie dla ciebie także, bo przy twojej zgrabności dasz sobie radę i bez naszego dziedzictwa, ale pragnę tego dla zawstyżenia złych, dla wykazania światu ich nikczemności. Gdy więc woźny wywoła mnie po nazwisku, ty, nic nie mówiąc, dźwignij mnie, podsuń

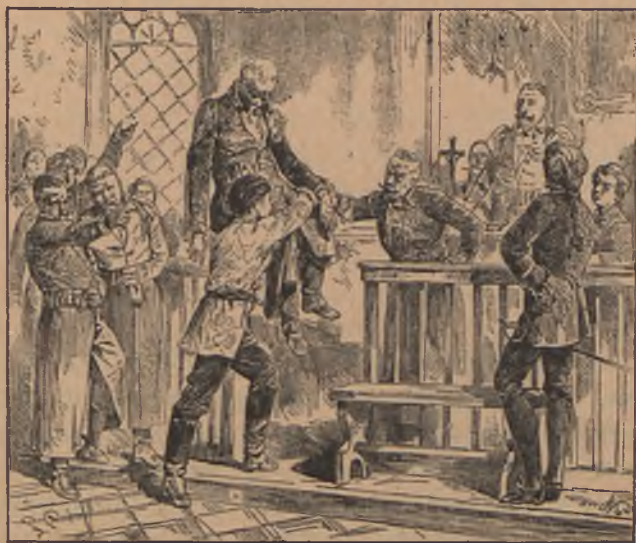
się pod sam sąd i powiedz: „Oto mój Ojciec szlachcic Marcin Popławski, strona skarżący!”

Stach wiernie spełnił polecenie Ojca: sędziowie zdziwili się, wysłuchawszy sprawy, przyznali słusność p. Marcinowi i wyrokiem przyznali mu dziedzictwo. Wszystko to jednak tak szkodliwie oddziało na niego, że w kilka dni zamknął oczy na zawsze. Błogosławiąc syna, wyszeptał jeszcze:

— Błogosławię cię, ale pamiętaj, Stachu, żeś szlachcic i że jako szlachcic, żyć powinienes prawdą i poczciwością.

Biedny Stach pozostał sam jeden na świecie.

---



Stach okazał ojca sądowi.

## II.

Stach z dniem śmierci ojca kończył lat dwadzieścia. Po pogrzebie, na którym częstunku dla krewnych i przyjaciół nie żałował, postanowił zaraz przenieść się do Stawisk i tam się zagospodarować. Ale jeżeli wyrok trudny był do uzyskania, to do wykonania prawie niepodobny. Wyrok nic nie znaczył, trzeba go było wykonać siłą, a na odpór jej i przeciwnicy byli dobrze przygotowani. Mógł wprawdzie do pomocy wezwać Stach wszystkich Popławskich, a była ich gromada wielka, coby przeciwników mogli czapkami zarzucić, ale Stach wierny szacunkowi dla pamięci ojca

i jego nauk, nie chciał we własnej nawet sprawie gwałtu gwałtem odpierać.

— To rzecz nie byłaby szlachetna,—myślał sobie,— a ja szlachcic, to złego nie chcę naśladować. Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy.

Czekał więc Stach rok cały, nadaremnie: gdy drugi dobiegł do połowy a upamiętania przeciwnicy nie okazywali, gdy nadto zasoby po ojcu zjadł co do okruszyny a na fortunie wszystkiego było szczupło a pracy po uszy, od której już i odwykł, Stach zaczął się rozglądać po świecie, co z sobą zrobić. Po matce miał krewniaków w Krakowskim, udał się tam po radę, bo swoim Popławskim nie dowierzał i miał ich wszystkich za naród bardzo ciemny. Myślą jego główną było poświęcić się wojskowości: sprzedał więc swą fortunę, kupił dzielnego rumaka, oporządził się, kilka dukatów zaszył w pasie, resztę wsypał do sakwy i ubrany w kontusz, z szablą przy boku, wyruszył w drogę, zapominając o krzywdzie jakiej doświadczył.

— Jam szlachcic,—mówił sobie, skubiąc wąsy, które mu się dopiero wysypywały. Dostatki, to rzecz nabyta, a ja nawet o skarby całego świata wodzić się za

lby nie będę. Tak radził ojciec, a ja sam na siebie bym plunął, gdybym go nie słuchał.

Pojechał więc z miną sierdzistą i buńczuczną; przed koniem na ziemi zrobił znak krzyża, to samo na swych ustach i czole, przejeżdżając koło Stawisk wyciągnął pięść ku dworowi i ścisnąwszy konia ostrogami, pocwałował w dalszą drogę. Podróż szła mu gładko: na popasy zajeżdżał do dworów lub plebanów, przyjmowano go wszędzie gościnnie, nie szczędzono wygody dla niego i konia, i jeszcze na drogę obdarzono kawałem wędzonki, aby mu głód przypadkiem nie dokuczył. Nie przyspieszał też wędrowki, a rad, że się nowym ludziom i stronom przypatrzy, przesiedział czasem i dni parę w jakim dworze, gdy go usilnie proszono.

Przy końcu drugiego tygodnia takiej wędrowki, zajechał do jakiegoś plebana, bo w pobliżu nigdzie dworu nie było, i tam napotkał krewniaka proboszcza, który był werbownikiem ochotników do hufców cesarzowej Maryi Teresy. Gawędka wkrótce się rozpoczęła, krewniak nie mógł się dość nagadać o zagranicznych różnych dziwewiskach, jak zwerbowanym żołnierzom jest dobrze u cesarzowej, ile płacą im rocznie



i jak łatwo podczas wojny, którą wówczas z Prusami prowadzono, wzbogacić się zdobyczą i wspiać się na wyższe stopnie.—Stach słuchał tego ciekawie, nabierał coraz większej ochoty zapisania się na listę zwerbowanych, rozważał, czy nie ubliży jego godności szlacheckiej służba u obcych, a sam sobie odpowiedział, iż rycerstwo, to największe w świecie szlachectwo, zapisał się do regimentu cesarzowej Maryi Teresy. Werbownik, ucieszony taką zdobyczą, położył na stole pięć talarów, jako zadatek zrobionego zobowiązania.

— Weź je sobie z powrotem panie bracie!—odrzekł Stach,—ja nie idę do pokojowej służby cesarzowej wylizywać talerze, tylko zapisuję się do jej szeregów wojсковych, bo mi mówiono, że to dzielna i mądra niewiasta, i wszystkim potencyom, co ją chciały z państwa wyzuć, postawiła czoło. Gdyby nie to, służby bym jej nie poświęcił, powiedźcie jej to i dodajcie przytem, że powiedział to Stach z Popław Popławski, szlachcic herbowy na wiosce dziedzicznej Stawiska.

Stach, mówiąc to, podparł się pod bok, wyprostował dumnie i sięgnął ku wąsom, a werbownik schował talary i aż przygryzł wargi, bo mu się tak śmiać chciało z buty młodzieńca, który nie mógł zrozumieć,

że rycerstwo jest rzecz szlachetna, ale w szlachetnym celu, nie kupione za pieniądze, dla wyższej rangi i zdobyczy wojennej.

Służba tak nagle obrana, Stachowi zaraz od początku bardzo się nie spodobała. Nie pomyślał nawet, że nie umiejąc po niemiecku, z Niemcami i słowa się nie dogada. Był bowiem pewny, że po polsku mówią wszyscy na świecie, a tu co tknij, to Niemiec, Węgier albo Bawar, a co głos jaki usłyszysz, to jak gruchanie gołębia, które tylko gołąb rozumie i na nie odpowiada. Było mu więc bardzo źle, łajano, gniewano się na niego, mustrowano, przestrzegano rygoru i posłuszeństwa, ale obchodzono się z nim, jak z chetką petelką i za nic prawie miano. Gdy mu bardzo dokuczono, odwoływał się do swego szlachectwa i nazwiska, i to tak często powtarzał, że go powszechnie w regimencie zwano szlachcicem.

— Tak, jam szlachcic!—powtarzał—Stach z Popław Popławski, dyabłu bym wolał służyć, niż wam, bobym się z nim po ludzku mógł rozmówić, ale przyrzekłem, a słowo szlachockie, to jak przysięga, będę do swego czasu, a potem bywajcie zdrowi!

Cierpiał też Stach w nowej służbie męki nielada,



ale był cierpliwy, znosił żarciki, dopóki nie gryzły i nie kąsały, ale gdy raz draśnięto jego honor narodowy i z lekceważeniem ozwano się o ojczyściej jego ziemi, zerwał się na równe nogi i wzgardą wzgardę zapłaciwszy, zawołał:

— Wara! od tego co moje, co po Bogu najpierwsze jest w mojej duszy!.. Jeżeli jeszcze raz z językami podobnie wyjedziecie, to je utnę wam razem z uszami, jako potwarcom niegodziwym.

Zrobił się z tego zamęt, bo Stach słów swych nie szczędził, pałasze mignęły. Stach nie uląkł się napastników, choć tych była przeważająca liczba, stanął odważnie i jak machnął rapirem, dwom wytrącił oręż a trzeciemu rozplatał rękę.—Na szczęście, jeden z Czechów znalazł się rozważniejszy: uspokoił powaśnionych, skłonił ich do spokojności i Stachowi przyznał słusność, że stanął w obronie tego, co szanowanem być winno.

Od tej chwili towarzysze większą uwagę zwrócili na Stacha, nie dogryzali mu przycinkami, nazywali go żartobliwie „pan szlachcic“, a on równie im żartobliwie odpowiadał:

— Tak, jestem szlachcic, nie jak wy nieme dyabła!

Jak tylko regiment, w którym służył Stach, uzbrojono i wyćwiczono należycie, zaraz go wyprawiano na plac boju. Rozkaz wydany ucieszył wszystkich, ale najbardziej Stacha, któremu kwaterunek w jednym miejscu już się dobrze naprzykrzył. Przez ten czas jednak dosyć poderwał niemieckiego języka, tak, że od biedy mógł się w każdej potrzebie rozmówić. Gdy przyszło do wymarszu i Stach ze swym przyjacielem Czechem rozmawiał, kulbacząc konia, nagle przerwał i zapytał:

— Ale, ale, słuchajno, Jakóbie, czy nie wiesz z kim idziemy wojować?

— A kto ich tam wie!— odrzekł Jakób. Powiadali pono coś o Prusaku.

— Jeżeli na Prusaka, to dobrze, bo go jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

— Oj! zli to ludzie ci Prusacy!—wtrącił Jakób.

— Jak im zajrzemy w oczy, to może się odmienią!—odrzekł Stach. Ale o co oni z cesarzową powadzili się?

— A kto ich tam wie!—mruknął Jakób. Powia-

dają, że król Fryderyk cesarzową Maryą Teresę nazwał babą, ot, i wojna!

— O! babą nazwał? To wielkie grubiaństwo. Trzeba go będzie nauczyć rozumu, dobrze, że wiem, o co to w tej wojnie idzie.

— Ej! ja na to nie zważam, czy bić się ze Szwedem, czy z Turkiem, czy z Prusakim, to mi jedno.

— Ze Szwedem—odezwał się Stach,—mówił mi nasz pleban, że było w naszym kraju kiedyś wiele termedyi. O Turku to wie u nas i maluśkie dziecko, i radbym kiedy tak po szwedzkim jak i tureckim grzbiecie rachować pałaszem pacierze w krzyżu. Najochotniej jednak porwę się na Prusaka, bo szkalunek rzucić na kobietę i nazwać ją babą, to wielkie grubiaństwo. Ojciec mi zawsze mówił: synu! strzeż czci swojej i szanuj kobiety, bo kto choćby dla takiej maluśkiej jak paznokciec na małym palcu, nie zeszedł z drogi i chciał ją potrącić, to go w łeb na odsieb, niech się uczy grzeczności!

— Ej! ja nie taki zapalczywy!—odrzekł Jakób.

— Boś nie szlachcic jak ja z dziada pradziada! Stach z Popław Popławski na dziedzicznej wsi Stawiska.

W owym czasie wojnę prowadzono z królem pruskim Fryderykiem, nazwanym później Wielkim, który rzeczywiście wielkich rzeczy dokazał, jako rządca kraju i wojownik, ale nie był wcale wielkim pod względem uczciwości i prawości charakteru. Odrwić, oszukać, obedrzyć, choćby do ostatniej nitki, przyrzec co, a nie dotrzymać, stanąć jeżem, gdy się czuł przy sile, a barankiem przed mocniejszym, to było codziennym jego chlebem i nawet się z tem nie taił, tylko przechwalał, że podszedł głupca, co mu zawierzył. Wojna ta była długa, trwała lat siedm i dlatego ją Siedmioletnią nazwano.

Prusacy sprawiali się dobrze, wygrywali bitwę po bitwie, ale chociaż i regiment Stacha doznawał porażki, on sam dzielnie się zawsze odznaczał. Prusaków rąbał, oficerów ich chwycił do niewoli, obozy na ochotnika alarmował, salwami z pistoletu niepokoił i inne podobne sztuki płał zuchwale. Jako zaś wielki znawca i zwolennik koni, umiał je chwycić zawsze z wielką zręcznością i to co większej wartości. Nie było potyczki, w której-by Stach nie zdobył konia i byłby z tego miał nawet dobre zyski, bo oficerowie zaraz do

kupna przystępowali i wykładali pieniądze, ale Stach potrząsał na to głową, mówiąc:

— Jam nie handlarz, tylko szlachcic z dziada pradziada, to koni nie sprzedaje, tylko je rozdaje w podarunku.

Dawał je też każdemu co umiał się mu przymówić: połowa niemal oficerów w pułku przez niego została zaopatrzona; śmiano się pocichu z jego rozrzutności, w głos potakiwano, gdy się przechwalał szlachectwem, a Stach, nadymając się, zadzierał nosa i pokręcał wąsy. Takie to były wówczas czasy pojmwania godności szlacheckiej.

Po szesnastu odbytych bitwach, a zawsze zwycięskich, wreszcie szczęście wojenne odstaąpiło króla pruskiego. W spotkaniu pod Kunensdorfem najbardziej mu klęska przypiekła. Austryakami dowodził wówczas feldmarszałek cesarski Laudon. Prusacy dzielnie nacierali, zwijali się jak frygi, ale austryackie szeregi jakoś lepiej się sprawiały i biorąc górę, zaczęły całą siłą następować na Prusaków. Wzięto ich wszystkich ze czterech stron, miano ich albo wysiec co do nogi albo zabrać do niewoli.

Król Fryderyk, widząc to, a pragnąc gwałtem przebić się przez szeregi austriackie, aby choć szczytki ocalić swej armii, rozkazał całemu regimentowi dragonii rzucić się na nieprzyjaciela i zrobić w nim lukę do odwrotu. Było to skazanie oddziału na śmierć pewną: poszedł jednak i na dany sygnał wpadł w oznaczone miejsce, jak wichur z burzy powstały. Ale po za szeregami austriackimi stały baterie artylerji; wnet też podniósł się z nich obłok dymu, zajaśniały ognie jak błyskawice i ryknął huk aż ziemia zadrżała. Regiment dragonii rozsypał się jak garść piasku, połowa z niego padła a reszta na szalejących koniach rozbiegła się po całym poboju.

Aby dopełnić zupełnej zagłady zgromionych, wysłano cały szwadron ułanów austriackich, w których Stach służył. Uciekających wnet dognano, jednych porąbano, drugich uchwyciono, Stach wziął jednego z oficerów do niewoli, oddał go do komendy a sam z drugimi rozsypał się po polu, wiedąc za sobą dzielnego a świeżo zdobytego rumaka. Przejeżdżając tak po polu, aby pościągać rannych, w pośród dymu, kurzu i unoszącego się pyłu, zobaczył dwóch pandurów węgierskich, którzy wyrwali sobie jakiegoś oficera dragonii



ciężko w głowę ranionego. Stach natychmiast poskoczył ku nim, — od czasu bowiem rozpoczęcia wojny z Prusakami, nie nawidził ich całą duszą, i rad byłby siekać ich na zrazy: ale co innego jest nieprzyjaciel bijący się, a co innego pokonany, a może i śmiertelnie ranny. Natarł więc na pandurów śmiało i godząc lancą, wołał:

— Weg! weg!

Panpurzy umknęli, bo z ułanem wojsk własnych nie chcieli się wadzić. Stach dopadł zaraz do oficera dragonów, który z pistoletem w rękę i z głową owiazaną stał, śmiało patrząc mu w oczy.

— Herr Kamerad! — odezwał się ranny, — ich danke...

— Niks Kamerad, niks deutsch! — wrzasnął Stach — ruf pardon und Geld gieb!

— Pardon! — mruknął dragon, sięgnął do kieszeni, wydobył z niej kieskę i podając ją Stachowi, wyrzekł z wielką złością po polsku:

— Bierz, dyable wenecki, a bodaj cię w pierwszej bitwie rozerwało na drobne kawałki.

— Coto — zawołał Stach — toś ty Polak?

— A tak, Polak!

— A na jakież лихо stoisz po pruskiej stronie?  
— Zaciągnęli mnie i obalamucili—odrzekł oficer.  
— Toś chyba, bracie, nie szlachcicem?  
— Jestem szlachcic, Maciej z Bugaja Bugaj...  
— A ja Stach z Popław Popławski, szlachcic na  
dziedzicznej wiosce Stawiska.

— No, no, i bracia i przeciw sobie!

— Nie przeciw sobie już teraz,—odrzekł Stach;  
mieszek z talarami schowaj, a weź ot, konia, com go  
zdobył i umykaj pókiś cały, abyś się nie dostał do nie-  
woli, bo czasu na rozprawę niema.

Bugaj ścisnął rękę Stachowi, wygramolił się, choć  
z trudnością, na konia, narzekając, że mu szumi w gło-  
wie i mroczy w oczach, popędził ku swoim a Stach  
znów do swego podążył regimentu.

---





— Pardon! — mruknął dragon, sięgnął do kieszeni,  
wydobył z niej kieskę i podał Stachowi.

### III.

Wojna nareszcie Siedmioletnia skończyła się zwycięstwem Prusaków pod Freibergiem i zawarciem z królem Fryderykiem pokoju w Huberstburgu, który mu przyznał wszystkie zagrabione posiadłości. Europa nie mogła się oprzeć jego geniuszowi, uznała polityczną jego przewagę i otoczyła sławą wielkiego wojownika. Stach przy ostatniej rozprawie pod Freibergiem dostał postrzał w prawy policzek, i gdyby nie pomoc wiernego mu Jakóba, który go uniósł z placu boju, byłby na śmierć z pewnością stratowany. Kula wybiła mu dwa zęby trzonowe i przepadła bez śladu.

Rana w szpitalu prędko się goiła; Stach był milczący i ponury, widocznie rozważał i zastanawiał się nad swem położeniem. Gdy poczciwy Jakób odwiedził go, z początku nie mógł się z nim dogadać, co zaczął z której beczki, to Stach mruknął coś, westchnął i znowu milczał zawzięcie. Dopiero przy pożegnaniu rozplątał się mu język i rzekł ze smutkiem:

— Ta kula co mi twarz przedziurawiła, mój kochany, przez Prusaka. Nie mów więc o tem nikomu, bo to wstyd być wypoliczkowanym. A sprawiedliwie ta hańba spadła na mnie, bom tu potrzebny był jak dziura w moście. Czyż to na obczyźnie należy nam krew szlachecką przelewać, kiedy w domu tyle jest do roboty?

W kilka tygodni później Stach wrócił do pułku i tak jakoś zatuszował do swoich, że zaraz podał się o urlop, w chęci odwiedzenia stron swoich rodzinnych! Ale niełatwa to była sprawa. Odwlekano, wykręcano się, obiecywano to jutro, to za tydzień go wydać, i tak czas uchodził na próżnem oczekiwaniu. Stach coraz się bardziej niecierpliwił, pułk wymaszerował do Węgier, musiał iść z nim razem, choć o urlop ciągle

kołatał, i przeklinał w pień wszystko na czem świat stoi.

Gdy przyszedł do miasta, w którym stał sztab główny Andrzeja Poniatowskiego, generała wojsk austriackich, Stach ucieszył się tem wielce i przywdziawszy paradny uniform, poszedł wprost do głównej kwatery, aby się osobiście z panem bratem, równym mu szlachcicem rozmówić. Działo się to w lecie roku 1764.

Wchodzi na podwórze, a tam pustki i cicho jak w klasztorze, słyszy tylko, że w stajni ktoś około koni rozprawia. Zajrzał więc do niej i spotkał się oko w oko z jakimś wąsaczem w kitli płóciennej i z miną niezmiernie sierzystą. Stach zmierzył go spojrzeniem, pokręcił węża, ale z zazdrością, że mu w tej ozdobie twarzy wyrównać nie może, i zapytał po polsku, widząc, że z Polakami ma do czynienia:

— Czy pan generał Poniatowski jest w domu, bo radbym się z nim rozmówić.

Stajenny, przyjrawszy się wojskowemu ubraniu Stacha, uśmiechnął się znacząco i odrzekł:

— Hol ho! do księcia generała nie tak łatwo dostać się jak do gospody.

— Jak komu, mości masztalerzu! — odpowiedział Stach.

— Zapewne, ale jak dla waćpana, za wysokie to progi na jego nogi.

— Nie mamroc waszmość po próżnicy! — odrzekł Stach, — bo dla nóg moich nie ma progów za wysokich.

— To waszmość musiałeś się urodzić w żłobie królewskiej stajni, że tak nosa zadzieraszą wysoko!?.

— W żłobie, mój mosanie, i to ubogiej stajenki złożony był Jezus Chrystus, a świat cały z królami oddał mu pokłon. Żłób więc nie kłał godności szlacheckiej, i choćbym się w królewskim urodził, tom zawsze szlachcic — Stach z Popław Popławski.

— To i ja szlachcic Kalinowski, choć w takiej dzisiaj mizeryi.

— Al! kiedyście szlachcicem, to inna sprawa! — odrzekł Stach, wyciągając rękę. — Zamiast więc przygryzków—oto moja ręka, uściskajmy się po bratersku.

Nastąpiła zgoda, Kalinowski zaczął inaczej przemawiać.

— Księcia generała, — rzekł, — nie ma w domu, pojechał do Warszawy na elekcyę króla.

— Na elekcyę? — ze zdziwieniem powtórzył Stach,—a cóż to się zrobiło z królem Augustem?

— A cóżto nie wiecie, że umarł i mają nowego obierać króla.

— Umarł, no, proszę, a to nowina, no! no! Ale nowy król może będzie sprawiedliwszy, muszę więc zaraz ruszyć na elekcyę, bo to sprawa publiczna, i beze mnie się nie obejdzie.

W dalszej mowie Kalinowski mu poradził, aby o urlop poszedł poprosić samego grafa Dauna, który wczoraj przyjechał i miał odbyć lustracyę wojska.

— Chwałą go, — dodał w końcu, — że dbały o wojsko i sprawiedliwy, to was wysłucha i zrobi co słusność każe.

Dostać się do grafa było trudno i Stach musiał się przygotować do wystąpienia wraz z całym szwadronem. Przegląd udał się dobrze, w manewrach odznaczył się szczególniej regiment, w którym Stach służył i pierwszy był na prawem skrzydle. Graf Daun po ukończeniu przeglądu, kazał zadowolenie swoje oświadczyć całemu oddziałowi z dodatkiem, iż kto chce wystąpić, może z prośbą, a wysłuchaną zostanie. Stach nie namyślając się, ruszył zaraz z kopyta, osadził



konia przed samym grafem i salutując rzekł łamaną niemieczyzną z akcentem, jakby w kamieniu wybijał dziurę.

— Ich bin Edelman Stach z Popław Popławski und bitte um Urlaubt nach Pohlen \*).

Graf zdziwił się, że z prośbą o urlop aż do niego się udano, ale zapytał zaraz w jakim celu żąda pozwolenia.

— König wählen! \*\*) — z dumę Stach odpowiedział.

Graf uśmiechnął się z buty Stacha, polecił wydanie urlopu i z wypłatą przypadającej przez ten czas pensyi.

Tak więc Stach otrzymał nareszcie to, czego tak dawno pragnął, musiał jednak dać słowo szlacheckie, że wróci znowu do regimentu dla dosłużenia czasu przy werbunku oznaczonego. Zabrał się też szparko do podróży, ale odebrano mu broń i konia, bo nie bardzo dowierzano jego słowności, chociaż kłął duszę i ciało

---

\*) Jestem szlacheic i proszę o urlop do Polski.

\*\*) Króla obierać.

że słowo szlacheckie to rzecz święta, którego nie przełamałby nawet i za koronę.

W przeddzień wyjazdu zabrał Jakóba i Kalinowskiego na poczęstunek, aby jak powiadał, nie ciążył mu w kieszeni grosz niewysłużony.

— Nie potrzebuję ich łaski, — rzekł, — gdy sami dali, to wziąłem, ale przewozić do kraju takie pieniądze, jak sługus jaki, nie wypada. Mam ja zapasik na Prusakach zdobyty, to dam sobie radę.

Przy kieliszku Stach rozgadał się, opowiadał sprawę, jaką miał o Stawiska i że teraz nie zaśpi jej i musi rzecz całą wyklarować.

— Kogo ta na króla obierzemy, — mówił dalej, — nie wiem. Rozejrzę się między bracią szlachtą, rozgadam, wypytam, i któremu z kandydatów dobrze będzie z oczów patrzeć, to za nim głos swój podniosę, a za mną pójda wszyscy Popławscy, których jak mrowia po świecie. To rzecz nie bzdurna, pokażę, co szlachcic Popławski znaczy, a nowy król musi się dowiedzieć, że za króla Augusta Sasa, w kraju nie było sprawiedliwości!

Na drugi dzień już Stach był w drodze; wyruszył pieszo, na bosaka, z butami na kiju zawieszonemi, bo



musiał ich oszczędzać, aby się nie podarli, ale zaraz wstąpił do znajomego sobie, któremu podarował zdobytego konia, a drugiego oddał w opiekę dla siebie wraz z bronią, także na polu bitwy zabraną. Najwięcej bowiem Stacha, znając jego zwinność i męztwo, używano na podjazdy i patrole, w których gracko się spisując, zawsze się jakąś zdobyczą oblowił. Tam dosiadł konia wypoczętego i pełnego ognia, zawiesił szablę przy boku, lancę ułańską przymocował do prawej ręki i podziękowawszy gospodarzowi, ruszył w dalszą drogę.

Jadąc na dzielnym rumaku, dziarską miał minę; każdy przechodzień oglądał się za nim, podziwiał konia, chwalił jeźdźcę postawę a niejeden czapkował, bojąc się zaczepki. Gdy dojeżdżał do granicy, spotkał trzy wozy z beczkami wina od Węgier idącemi. Ludzie, będący przy nich, rozmawiali po polsku.

Wszedłszy z nimi w gawędę, dowiedział się, że należą do dworu pana Popiela, że wiozą dla niego wino, ale z wielkim strachem, bo powiedziano im, że w lesie przy samej granicy, jest banda rozbójnicza z samych Cyganów złożona, która rabuje wozy i obdziera podróżnych.

— A no, to się spróbujemy! — odrzekł Stach, pokręcając węża. Już dawno się nie wojowało, to dobrze będzie choć z cyganami spróbować się!

— Niech ich kat porwie! — odrzekł jeden z dworzan, — ale żeby pan żołnierz z nami chciał jechać, toby jakoś...

— Skórko na buty! — przerwał Stach, — ja semte bataremte nie pan żołnierz, tylko szlachcic Stach z Popław Popławski, i takim jak ty służkom, to plecy garbuję płazem pałasza, rozumiesz?

— Jużćie rozumiem, — odrzekł dworus pokornie, — niech wielmożny pan nie będzie o to markotny, bo kto zgadnie ze spojrzenia, jaka w kim dusza siedzi, czy pańska, czy pospolita?..

— No, to się wie! A żeście od pana Popiela, to już was nie odstąpię! bo bratu szlachcicowi służyć przynależy. Jedźcie więc dalej w drogę i nic się nie bójcie... Ja z wami a przy mnie to i dyabeł rogi schowa jak mu bluznę w oczy krzyżową sztuką!

Dworak, ucieszony, skłonił się uniżenie Stachowi, skoczył na wóz i furmanki poszły w drogę. Słońce już zachodziło, gdy wozy dociągnęły do owego złowróżbnego lasu; chciano przenocować pod lasem,

ale Stach ani słuchać o tem nie chciał, powiadając, że przy zmierzchu łatwiej się przemkną. Wjechało więc w las, konie przynaglono do biegu o ile można. Stach opatrzył broń, odpiął pistolety, przygotował lancę i przejeżdżał się bokami drogi, wypatrując napastników. Nie mogąc nic dojrzeć podejrzanego, zatrzymał się cokolwiek w tyle opodał wozów i zaczął nakładać fajkę; wtem nagle powstał wrzask przeraźliwy, krzyki, tumult; Stach spał rumaka, krzyknął, jakby całym plutonem komenderował, aż ziemia zadudniła pod kopytami, i gdy przypadł do napadniętych, dał ognia z pistoletu do jednego z opryszków, drugiego dźgnął lancą, zwrócił się do innych, którzy sądząc, że mają do czynienia z oddziałem wojskowym, w ucieczce naglej szukali ocalenia. Ale wraz z nimi rozpiezchła się także i służba wozy prowadząca, pozostał tylko jeden, co nie straciwszy przytomności, bronił się pałką w lesie poprzednio uciętą.

Stach, nie chcąc wydać się, że jest sam jeden tylko, z krzykiem ciągle się przejeżdżał po gąszczu przydrożnym, rąbiąc pałaszem i dając salwy z pistoletu, jakby za uciekającymi. Wozami tymczasem jechał dalej pozostały pachołek, i tak minęli las, potem granicę,

przystanąli na odpoczynek, ale tych, co uciekli, doczekać się nigdzie nie mogli. Stach nie odstępował już wozów i z jednym pacholkiem dopchał się do Strużyc, włości pana starosty Popieła.

Kiedy wjechano w podwórze, wypadła wielka gromada psów z wielkiem ujadaniem, potem w oknach pokazały się liczne głowy, wybiegła służba i wyszedł jakiś poważny człowiek w kontuszu pasem opasany. Stach zsiadł z konia, uwiązał go przy wozie i podsunął się ku owemu staruszkowi.

— Radbym, ojeze — rzekł do niego, — zobaczyć się z samym starostą Popielem.

— A cóż to, wasze, macie do niego za interes?

— Jam szlachcic z Popław Stach Popławski, — odrzekł Stach, opierając się na pałasz, — a teraz w służbie wojennej cesarzowej Maryi Teresy. Niech więc wasze wie, że nie pod płotem na świat przyszedłem i że mi się należy respakt, jako szlachcicowi od dziada pradziada.

— Hm! hm! — mruknął starzec — w ustach starego nie ma dla młodości obrazy, a waszeciemi nazwałem nie z przygryzki, ale z nałogu. Waszeć widzę w ukropie kapany?...



— Jam szlachcic z Popław, odrzekł Stach opierając się  
na pałaszu.

— Ale nie dla was, ojczel!—odrzekł Stach, miarkując się natychmiast. — Krew we mnie, co prawda, nie woda, ale jeżeli język mam skory do mowy, to serce ładne do zgody. Ojciec zawsze mi mawiał, że starszych i w piekle szanują, przebaczcie też [mojej] porywczności i pozwólcie rękę waszą ucałować.

Ta uległość i poskromienie samego siebie starca aż do łez poruszyły. Nachylonego przy swej ręce, przycisnął do piersi i pobłogosławił.

We dworze w Strużycach przyjęto Stacha bardzo gościnnie, podziękowano za opiekę wozom udzieloną, nagadano się o wojaczce jego obszernie, wypytywano się o różne szczegóły pobytu na obczyźnie i wreszcie trzeciego dnia wypuszczono w dalszą drogę, bo i pan Popiel jechał także na elekcyą do Warszawy.

Przy pożegnaniu z owym staruszkiem, który był powinowatym Popielów, Stach rzekł:

— Radhym od was, ojczu, nie ruszać, bo mi się córka waszego Popiela bardzo upodobała.

— Ej! tu państwo wielkie, moje dziecko! — odrzekł staruszek, — oni się z nią patrzą na jakiego wojewodę.



— A cóż to znaczy? Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie! — odrzekł Stach, i jakby rumotu narobił między bracią Popławskimi, toby mnie i królem wybrano.

— Ha! to i spróbuj, — szepnął starzec, a zaraz mu odrzekł Stach:

— Jużcić że spróbuję! ale nie teraz, bom jeszcze chudzina.

---

#### IV.

---

W kilka tygodni po wyjeździe ze Strużyc, Stach dojechał wreszcie do Popław, rodzinnej swej wioski. W drodze na odpoczynkach w dworach i plebaniach, rozpytując się o sprawy kraju, dowiedział się, że królem pragną wszyscy mieć Piasta, czyli rodaka, i że prawie ogólnie zgadzają się na pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego.

— Co prawda, — mówił Stach na to, — nie znam tego pana Stanisława, ale znam jego brata, pana Andrzeja, z którym razem służymy w wojsku cesarzowej Maryi Teresy. Jestto dzielny generał, wspaniałej po-

zytury i wąsacz jakich mało, to spodziewać się należy, że i pan Stanisław w niczem mu nietylko nie ustąpi, ale we wszystkim przejdzie!...

— Pan to bardzo rozumny i z potencjami zagranicznymi zaprzyjaźniony, dodawano jeszcze.

— Przyjaźń z potencjami nie wadzi, — odrzekł Stach, — rozum się przyda, ale najbardziej nam trzeba króla wojaka, coby wasy przycinał tym, którzy je wtykają tam, gdzie nie potrzeba. Mądrą dysputą mało poradzi, ale dzielną ręką i meztwem wszystko zrobi co należy.

W Popławach przyjazd Stacha wielkie wywołał zdziwienie. Nie poznano go, tak się odmienił, a gdy zaklął po węgiersku: sem bateremte! i zaszwargotał po niemiecku, wszyscy zrobili wielkie oczy.

Przyjęto go niezmiernie gościnnie, każdy stara się ugościć jak mógł najlepiej; Stach obrał kwatery w dawnej swej siedzibie, a gdy zeszła się do niego cała gromada, rzekł:

— Umyślnie na wybór króla przywędrowałem aż z obczyzny, bo to rzecz szlachecka, aby mieć przewodnika w narodzie według swojej woli. Na kogóż więc, panowie bracia, chcecie głosować?

— Różnie o tem ludzie mówią, a nam...

— Jakto różnie? — ozwał się Stach. Między Popławskiemu nie powinno być rozdwojenia.

— To też my pana Stanisława Poniatowskiego mamy na myśli.

— I ja to samo, — odrzekł Stach, — a ktoby inniego forytował to sem bataremte zaraz go pod szablę!

— A czy znacie go? — zapytano.

— Jako żywo, dopiero niedawno dowiedziałem się, że żyje.

— I my to samo.

— No, to nic nie szkodzi, — odrzekł Stach, — ale z posłuchu wiem, że rozumny, a taki to sprawiedliwy, to krzywdy niczyjej nie dopuści, a takiego właśnie króla nam trzeba, żeby w sprawie mojej ze Stawiskiemu rozpatrzył się.

— O! hardy to naród ci Stawiscy i na nas z góry patrzą, nosa zadzierają!...

— Spuszczą go ku ziemi, — odrzekł Stach; — gdy ja między wami, to im pokażę, co Popławscy znaczą. Tylko stać murem przy mnie; wojowałem z Prusakiem i nieraz utarłem mu nosa, to i Stawiskich obetnę, że im aż świerczki staną w oczach.

Stach więc został przodownikiem całej licznej gromady Popławskich i na początku września 1764 r., ruszyli wszyscy ku Warszawie na wybór nowego króla.

Wielka także liczba szlachty z całej Rzeczypospolitej z różnych stron ciągnęła ku stolicy, a chociaż niektóre województwa przez posłów głosowały, na drogach jednak ruch był niezwykle i w gospodach pełno wszędzie ludzi jak nabił. Niektóre bowiem województwa wyruszyły, jakby regimenty wojskowe, w barwach jednakich, ale były takie, co szły gromadą bez porządku, w różnym przyodziewku, według możliwości. Jeden na koniu łątureckim, drugi na małym mierzynku lub chudym wywłoku; jeden w sajecie lub bławacie, drugi w zwyczajnej kapocie, z szablą na postronku zawieszoną. Wszystko to z lewej strony Wisły ciągnęło gościńcami, a z prawej przez rzekę mostem łyżwowym, umyślnie na ten cel zbudowanym, i podążało na pole elekcyjne, pod Wolskie okopy. Każdą rolę wojewódzką prowadził sam wojewoda w orszaku kasztelanów i innych dostojników, którzy starym obyczajem, wystąpili z wielką okazałością w rycerskiem uzbrojeniu, a nawet z bogatemi tarczami, dziwiąc strojnością i przepychem lud zgromadzony i liczne zastępy cudzoziem-

ców, umyślnie na tę uroczystość do Warszawy przybyłych.

Stach ze wszystkimi Popławskimi przyłączył się do oddziału Antoniego Lubomirskiego, jako wojewody województwa, do którego należał, i podjechawszy tuż do niego, rzekł:

— Sto mil z nakładem zrobiłem, aby stanąć na polu elekcyjnym, a to moi bracia, wszyscy Popławscy, i każdy z głosem na mnie się ogląda.

Lubomirski uśmiechnął się i odrzekł:

— Bardzo waszmość chwale za okazaną gorliwość w sprawie dobra publicznego. Prosimy do kompanii.

— Niech zna, — szepnął Stach do swoich, — jaka krew w nas płynie, że szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie.

Kiedy dojechano na pole elekcyjne, województwa zajęły przeznaczone sobie miejsca i zaraz się na nich zagospodarowały. Pokazały się tu i owdzie namioty, porozpalano ogniska, pokotem przy sobie leżące gromady, a wszędzie panował największy porządek, chociaż przy takim tumulcie o zwadę a nawet bijatykę nie trudno. Z obozowiska tego wydobywał się gwar



przytłumiony, to rósł, to małał, podobny do szmeru rozmowy wielu ludzi, ale jakby przyciszonej i tajemniczej. Znać było jakiś przymus, smutek, unoszący się niejako w powietrzu, brak zupełny życia a przeczucie zimnem mrowiem wszystkich przejmujące.

Działo się to dnia 7 września; poprzednio zaś senat i sejm na kandydata się zgodzili i miano go właśnie poddać pod zatwierdzenie całego narodu.

— Oj! — odezwał się Stach do swoich, gdy rozejrzał się między województwami,—ta cisza strasznie markotno wygląda. Dawniejszemi laty w trybunale więcej było huku i puku, niż tu, przy obiorze króla, a kiedy patrzę na te ogniska, to mi się zdaje, żem na pogrzebie.

Wtem karetą ponsową, złocistą, zaprzężoną w cztery konie z pysznemi czubami, prymas zaczął objeżdżać wszystkie województwa. Coś do nich przemawiał a potem dawały się słyszeć okrzyki trzykrotne, niby salwy z armaty, i znowu cisza następowała.

Z kolei zbliżył się i do województwa, przy którym Stach znajdował się z Popławskimi. Prymas wysiadł i rzekł:

— Witam waszmościów panów, moich braci na

tem elekcyjnym polu i pytam, jaka jest wola na króla i pana?

Stach zaraz chciał przemówić, bo chrząknął i pokręcił węża, ale uprzedził go Lubomirski, który postąpiwszy ku prymasowi, odrzekł:

— W imieniu całego województwa, mam zaszczyt złożyć waszej ekscelencji oświadczenie, że szlachta cała do niego należąca nie chce mieć innego królem, tylko pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego.

— I ja też to samo, — wrzasnął Stach, wyrwijąc się jak Filip z konopi — i to razem z braćmi moimi, wszystkimi Popławskimi!

— Czy zgoda, panowie bracia? — zapytał prymas, uśmiechając się z buty Stacha.

— Zgoda! wiwat! potrzykroć wrzasnęła szlachta a prymas, skłoniwszy się, pojechał dalej.

Stanisław Poniatowski został królem a na drugi dzień po odbytej elekcji z czterech bram okopowych marszałkowie ogłosili ludowi, [który w licznym tłumie zebrał się przed okopami, kogo mu wola narodu na pana i monarchę dała. Uroczystemu temu obwieszczeniu towarzyszył śpiew *Te Deum* we wszystkich ko-

ściółach i huk armat, a zaraz potem wszystek senat i sejm cały wraz z wielkim zastępem szlachty ku pałacowi elekta podążyły, aby mu hołd powinny złożyć i powitać pana miłościwego.

Stach poszedł za drugimi, gwałtem chciał się wcisnąć do wnętrza pałacu, ale go straż z dragonii koronnej nie dopuściła. Stach nie zważał na to, parł się gwałtem naprzód, odepchnięto go; rozgniewany cofnął się parę kroków, sięgnął do oreża i byłoby może przyszło do jakiej strasznej burdy, ale w bramie pokazał się jeden z komorników królewskich i ułgodził rozsierdzonego Stacha.

— Miarkuję po waszeci, — rzekł, — choć w ubra-  
niu obcego autoramentu, żeście szlachcic...

— A tak, szlachcic, Stach z Popław Popławski!

— Witam pana brata, ale proszę o wyrozumia-  
łość. Teraz do króla jegomości mają przystęp tylko  
wielcy dostojnicy i deputowani...

— Jam przecie szlachcic i ze wszystkimi Popław-  
skimi głosowałem za królem...

— Wiem o tem, ale szlachecka rzecz prawa słu-  
chać...

— Prawda, — odrzekł Stach, — zostańcie więc

z Bogiem i powiedzcie królowi, że ja Stach z Popław Popławski, com dwie kopy mil zrobił, aby za nim głosować, dopomnę się u niego sprawiedliwości.

— Oświadczę to miłościwemu panu.

— Tylko nie zapominajcie, — mruknął Stach, — bo to sprawa co nie ma nad nią ważniejszej.

Stanisław Poniatowski, przyjąwszy powinszowania, wsiadł na konia i w pośród wspaniałego otoczenia udał się do kościoła Ś-go Jana. Ułani królewscy szli przodem, dragonia zaś tył trzymała, aby wstrzymywać tłumy za nimi postępujące. Z kościoła miał król wrócić do zamku gankiem krytym; lud rzucił się ku niemu, aby dostąpić łaski ucałowania ręki monarszaj. Stach nie był ostatni i wybrawszy sobie najdogodniejsze miejsce, zajął je zawczasu, trzymając w zanadrzu jakiś papier w czworo złożony. Gdy Stanisław zbliżył się, Stach uchwycił rękę króla, ucałował ją. Stanisław zmieszał się, chciał mu wyrwać rękę, ale Stach nie puścił jej i zawołał:

— Stój, miłościwy królu, i wysłuchaj skargi pokrzywdzonego szlacheica...

— To złożcie suplikę w kancelaryi! — przerwał król, starając się rękę wydobyć.

— To się, miłościwy panie, — odrzekł Stach, nie puszczając ręki królewskiej, — psu na będę nie zdało! Do kancelaryi suplika jak wpadnie, tak przepadnie, a ja sto mil gnałem z obczyzny, aby głosować na was, miłościwy panie; weźcie więc suplikę i osądźcie moją krzywdę!

Nie było rady, król przyjął prośbę, ale z tego zrobiła się wielka awantura. Bliżsi zaczęli się cisnąć do Stacha, chcąc wysłuchać jego z królem rozmowy; zrobiło się więc zamieszanie, dalsi, ujrzawszy ruch, posunęli się gwałtownie ku Stachowi; jaki taki zapytał o powód zatrzymania się króla w pochodzie, ktoś krzyknął, że to zamach na życie wybrańca narodu, i zaraz potem zakipiało przy Stachu jak w garnku, ogromny powstał krzyk i tumult. Rwano się do niego z pięściami i z pogrózkami, Stach wydobył pałasz, stanął w obronnej postawie, wołając:

— Precz, hołoto! Jam szlachcic—Stach z Popław Popławski, i kto mnie dotknie ręką, to mu ją utnę jak makówkę!

Na tę pogrózkę tumult jeszcze się większy zrobił, wrzawa wzmogła się, podniosły krzyki: zbrodnia!

napaść! królobójca! przywoływano straż marszałowską i byłoby ze Stachem bardzo źle wypadło, bo go coraz bardziej naciskano, gdyby w tej chwili nie nadbiegł oficer z gwardyi konnej z kilku żołnierzami; przeznaczony do pilnowania porządku, ten w ciasnem przejściu przez galeryę, rozsunięszy tłum, stanął w obronie Stacha.

— Aresztuję waszmości, — zawołał, — i proszę udać się ze mną na odwach!

— A to z jakiej okazji? — krzyknął Stach. — To gwałt, napaść...

— Nie opierajcie się, panie Stachu z Popław Popławski, — szepnął oficer tuż przy uchu Stacha, — macie we mnie nie wroga ale przyjaciela, i zróbcie tak jak radzę. W takim zbiegowisku o nieszczęście nie trudno!

Stach spojrział na oficera, węża pokręcił, pałasz schował do pochwy i coś mruknąwszy poszedł pod strażą wojska bez żadnego oporu.

Za nimi ruszył tłum; Stach nie mógł zrozumieć, co to wszystko znaczy, hardo spoglądał po wszystkich, szeptał pod nosem kłutwą węgierską: sem bata remte!





Stach rozgniewany sięgnął do oręża.

a gdy wprowadzono go do izby odwachu, zaraz zwrócił się do niego oficer, mówiąc:

— Oddajcie pałasz, mości Popławski...

— A cóż to, — oburknął się Stach, — w niewolę mnie bierzecie?

— Nie w niewolę, tylko w areszt.

— A to dlaczego?

— Bo w obecności króla oręża się nie dobywa, tylko w jego obronie; jak się rzecz wyklaruje, to pójdziecie z Bogiem, gdzie się wam spodoba, ale teraz zaufajcie mi i zróbcie tak, jak regulamin wojskowy nakazuje.

— Żołnierzem także jestem, — odrzekł Stach, — i znam wojskowy porządek, szablę więc oddam, gdyby mi się jaka krzywda stała, toby miłej ojczyźnie przysporzyło się wiele kłopotu, a ja tego niepragnący. Cesarzowa Marya, w której wojsku służę, feldmarszałek Daun, który mi dał urlop, i oberszter ujęliby się za mną, a wtedy możeby i krew pociekła...

— Bądźcie spokojni, — odrzekł oficer, tłumiąc uśmiech, — już ja postaram się, jako świadom wszystkiego, aby sprawa wasza poszła gładko i pospiesznie i żeby nie przyszło o was do wojny z cesarzową.

— No, to pamiętajcie, że to nie przelewki, —  
odrzekł Stach, — ale radbym wiedzieć, jakie miano  
wasze?

Oficer chciał odpowiedzieć, gdy w tej chwili za-  
stukane gwałtownie do drzwi i ozwały się liczne gło-  
sy, domagające się natarczywie ich otwarcia.

## V.

Kiedy oficer wybiegł z izby, aby się dowiedzieć, o powód tak gwałtownego do drzwi dobijania się, zastał całą rotę marszałkowskich pachołków domagających się wydania sobie królobójcy.

— Wydaj nam waść tego zbrodniarza, — wołał dowódca, aby z sądem prędko się odbyć i poddać go katowi.

— Wara, drabie! — krzyknął Stach z po za drzwi; głowy szlecheckiej nie zdejmie tak łącno jak twoją, łbie barani, na pogańskim wyrosłą śmietniku! Za mną wszyscy, wszyscy stoją Popławscy, to was jak puch rozsypią po świecie!

— Nowa zbrodnia! — wrzasnął dowódca, — pogroźki "prawu i zelżywość godności mego rodu i urzędu...

— Panie Popławski, zmilknijcie, — odezwał się oficer zwracając się i odsuwając pacholków, którzy się gwałtem do drzwi pchali. — Wy zaś, panie instygatorze, idźcie z Bogiem, zkađ przyszlście, bo więzien jest żołnierzem i pod moją teraz juryzdykcyą stoi...

— Z regimentu cesarzowej Maryi Teresy!—dodał zaraz Stach i chciał drzwi otworzyć, ale były zamknięte.

— To dla mnie nic nie znaczy, i zbrodniarz...

— A ty skórczypalko! — wrzasnął Stach i trząsnął drzwiami tak silnie, że zatrzęszczały i nawet w zawiasach skrzypnęły. — Ty śmiesz mnie zbrodniarzem nazywać? Proszę otworzyć, proszę otworzyć!..—bo drzwi wysadzę i temu niedźwiedzicowi taką sprawię łaźnię, że ją na zawsze zapamięta.

Instygator zerwał się jak osa i buch! w drzwi pięściami; Stach zabębnił z drugiej strony, i nuż sypać na siebie groźby i różne brzydkie przezwiska. Oficer starał się obie strony uspokoić, ale nikt go słuchać nie chciał; zapobiegając dalszemu zatem zgorszeniu,

prawie przemocą wyprowadził służbę marszałkowską z odwachu i kazał jej iść na złamanie karku.

Tymczasem Stach dobijał się do drzwi z całej siły, domagając się otworzenia, ale mu powiedziano, że rotmistrz wyszedł na miasto i klucz z sobą zabrał. W niecałą później godzinę, rotmistrz nadbiegł zdyszany, a gdy Stach z głosu poznał go, zaraz zawołał:

— Mości rotmistrzu, wyzywam was na rękę, — zawołał, — żeście mnie, szlachcica polskiego, zamknęli w lochu, jak jakiego wiejskiego parobka lub ciurę obozowego.

— Chodziłem, mości Popławski, z raportem do samego marszałka Bielińskiego, i ten powiedział, że sam król wdał się w tę sprawę...

— Sam król? A to pocziwie zrobił! — przerwał Stach, — muszę mu podziękować. W tej chwili drzwi więzienia Stacha otworzyły się, ozwała się komenda, szcęknęła broń w prezentacyi, zatarabanił bęben i Stach przeszedł pomiędzy dwoma szeregami uszykowanych gwardzistów. Na samym ich końcu wystąpił rotmistrz i trzymając pałasz Stacha, zbliżył się ku niemu:

— Panie Stachu Popławski, — rzekł z wielką grzecznością i służbistością wojskową, — jesteście



wolni, oto wasz pałasz. Król jegomość, jak tylko dowiedział się z raportu mego o waszem uwięzieniu, oburknał się na to i kazał was nie tylko zaraz uwolnić, ale i przeprosić za subiekcyą, jaką wam zrobiono.

— A no, to dobrze! — odrzekł Stach, przypasując pałasz, — król postąpił, jak szlachcic prawdziwy, ale wy, mości rotmistrzu, pamiętajcie, żem nie po prostu Stach Popławski, ale Stach z Popław Popławski...

— Dziedziczny pan Stawisk,—dokończył rotmistrz.

— A wy zkąd o tem wiecie? — zapytał Stach, robiąc wielkie oczy. — Czy król wam o tem powiedział?

— Czyż mnie nie poznajecie?—zapytał rotmistrz

— Jako żywo, nigdy was nie widziałem.

— A pod Kunnersdorfem, kto odpędził ode mnie pandurów, kto mi dał konia, abym uciekał do swoich, choć byłem jego jeńcem...

— Ach! to wy, coście mnie dyablem weneckim nazwali, myśląc, że z Niemcem macie do czynienia?

— Tak, ja, ten sam, Marcin Bugaj, dziś rotmistrz w gwardyi dragonów królewskich. Gdybym was nie był przyaresztował i wydał w ręce marszałkowskich,

to nimby sprawę rozpoznano, bylibyście z jaki miesiąc w lochu przesiedzieli...

Stach rzucił się w objęcia Bugaja, przepędził czas na rozmowie o służbie wojskowej na obczyźnie, aż do obluzu warty i już nie rozstał się z nim aż późnym wieczorem, przyrzekając sobie wieczystą przyjaźń. Że zaś Stach zaraz na drugi dzień miał wyjechać z Warszawy, aby stawić się na czas oznaczony w pułku, gdyż urlop się kończył, rotmistrz więc obiecał czujność nad supliką podaną do króla i staranie przez marszałka Bielińskiego o skuteczne jej rozwiązanie.

Sprawa poszła dobrze, Stawiska przysądzono Stachowi, wyrok przedtem wydany wykonany; w imieniu jego rotmistrz Bugaj objął Stawiska w posiadanie, ale nowy dziedzic tak się rozlubował w nadgranicznych harcach wojennych od strony tureckiej, że dopiero w pięć lat wrócił do kraju, z trzosem dobrze obładowanym na opryszkach granicznych, z kilku cięciami pałasza i postrzałem od kuli, która go przy ramieniu na wylot przebiwszy. Odtąd raz na zawsze do potyrki w obcej służbie odeszła go ochota.

Wrócił więc do domu, mundur i oręż schował do

szafy, przebrał się w kontusz, podgolił czuprynę na wzór starej szlachty i zajął się gospodarstwem wiejskim. A miał w czem gospodarzyć, bo poczciwy rotmistrz Bugaj nietylko grosza nie uronił z pobieranych dochodów, nietylko obsadził wiernego podstarościego na gospodarstwie, ale gospodarstwo oddał mu zasobne we wszystkie potrzeby i szkatułę dobrze złotem i srebrem napchaną z dochodów przez ten czas składanych.

Znalazłszy się w tak wielkim dostatku, Stach schardział jeszcze bardziej, nabrał buty niepomiarkowanej i na chudopachołków patrzył z góry jakby gorszej od niego byli natury. Szczególniej lud wiejski trzymał w grozie i posłuszeństwie, a choć mu krzywdy nie sprawiał żadnej, ale go odpychał od siebie pogardą i lekceważeniem, gardłując wszędzie za prawami szlachty i trzymaniem się ich oburącz, aby najmniejszego uszczerbku nie doznały. Wszystkich zaś co przeciw temu głos podnosili i domagali się zrównania wszystkich stanów, aby jeden od drugiego nie miał większych przywilejów, nazywał nowatorami i farmazonami, chociaż nie umiał wytłómaczyć, co ta nazwa znaczyła. Gdy więc przychodziło do rozprawy ustnej

i język plątał się w mowie, bo w głowie myśli rozumnej nie było, uderzał w oręż zawsze przy boku zawieszony, pokręcał węża i kończył, mówiąc:

— Co mi tam acpan pleciesz szalki opalki o jakiejś tam potrzebie reformy i obcięciu szlacheckich przywilei. U mnie herb wszystko znaczy, i kto nie herbowy, to nie obywatel, nie człowiek, tylko jakby małe dziecko, którem rządzić należy, żeby się nie zatraciło.

Po paru latach pobytu na dziedziectwie i zaprzyjaźnieniu się z sąsiadami, których sutym obdarzył traktamentem, aby przyjazne zawrzeć z nimi braterstwo, Stach, który już teraz zawsze się mienił Stanisławem, tak jak zwano króla, postanowił się ożenić i to z panną nie z byle jakiego dworu, ale z pańskiego, przez którą wspiałby się w progi magnackie.

Najprzód przyszła mu na myśl córka Popiela, poznana przez niego niegdyś przy odstawie wina, gdy z Węgier jechał na elekcyę króla. Wybrał się więc do niej na wywiady z wielką wytwornością, ale w drodze na popasie dowiedział się, że już od lat czterech wyszła za mąż; nawrócił więc do domu trochę marnotny, że się spóźnił ze swem wystąpieniem. Potem

ruszył do innych domów równie znakomitych a zawsze strojnie i butnie, ale wszędzie z jedną zawsze spotykał się przeszkodą, że panna albo przyrzeczona, albo zaręczona, albo gotująca się na zakonnicę lub wreszcie ślubująca panięństwo do lat pewnych, czego odmienić nie można było. Wprawdzie były to wszystko grzeczne wymówki, co łącno było odgadnąć, ale pan Stanisław tak był pewny siebie, że nie domyślał się tego i ciągle przemyślał nad nowemi swatami. Pomału jednak spuścił z wysokiego tonu, zabrał się do pańien z mniej głośniejszych domów, ale zawsze bogatych i szanowanych w okolicy. Ale i tu równie mu się nie wiodło, i tak na zawodach schodziły lata, Stanisław zaczął stawać się cierpkim, zgryźliwym, tetrycznym, z sąsiadami zadzierał o byle co, klócił się, procesował, o Popławach zupełnie zapomniał, choć w nich krewniak siedział przy krewniaku, a ludem wiejskim rządził, jak na wojnie, bez żadnego wyrozumienia. Toteż dwór jego opustoszał, rzadko go kto nawiedzał, w kościele tylko lub na jarmarku spokał się z bracią szlachtą, i tam przy gąsiorze wina rozprawiał o sprawach publicznych i o zamierzonych reformach, o których wszędzie mówiono.

Raz na takim zebraniu, na odpuszczeniu w jednym z kościołów parafialnych, znajdowało się wiele szlachty, a między nimi był jeden z dalszych krewniaków Stanisława, Jan Popławski, który przez długi czas przebywał na dworze książąt Czartoryskich i na stare lata osiedlił się w niewielkiej wiosce. Był to starzec już w ósmym krzyżyku, pełen jeszcze życia, zany, rozsądny i wielce szanowany w całej okolicy, chociaż prawdy nie krył przed nikim i zawsze ją szczerze wypowiadał. Siedział przy stoliku na pierwszym miejscu, w koło mieściła się szlachta ze Stachem i rozprawiała o potrzebach Rzeczypospolitej. Chociaż wszyscy zgadzali się na jedno, że źle się dzieje, że obcy niby przyjaciele coraz ostrzej biorą się do ich skóry i tylko czekać, jak ją zaczną żdzierać z karków wszystkich, jednak zmiany wszelkie odpychano, powiadając, że to zamiast zbawienia wolność zagubią bez śladu.

— Chcą wojska stałego, mówiono, a to po co? Czy to nas niema gotowych zawsze na każde zawołanie? Wojskiem chcieliby nas wziąć za lby, ale się nie damy, bo wolnością staliśmy w pomyślności i nią dźwigniemy się z niedoli. Chcą stałych podatków, a czy to slychana rzecz, aby człek herbowy opłatał się



niemi jak prostak do wideł i cepa włożony, a nie do oręża? Chcą nam, szlachcie, odebrać nasze prawa i prostactwo usunąć z pod naszej władzy, aby do nas podrosło, ho, ho! nie damy się, bo szlachcić zawsze musi iść przodem a za nim prostactwo, naprzód woły w pługu a za niemi poganiacz.

I tak rozmowa w kółku się toczyła, Stach nie rozumował, bo tego nie umiał, ale potakiwał i zawsze z herbem wyjeżdżał na czoło. Gdy zaś który skończył, to się zwracał do starego Popławskiego i pytał:

— Czy nieprawda, panie Janie?

Starzec milczał, ale po wszystkich wodził oczyma i gdy nagadano się do woli i chciano rozmowę zacząć z innej beczki, ozwał się, prosząc o uwagę.

— Oj! źle się dzieje w naszej Rzeczypospolitej — rzekł powolnie ze smutkiem trzęsąc głową; — trzeba na gwałt jej poprawy.

— Tak, tak, potwierdzono, bo inaczej coraz będzie gorzej.

— A któż to jest ta Rzeczypospolita? — zapytał. Szlachta chrząknęła, mruknęła, ale jakoś na odpowiedź nie mogła się zebrać.

— Kiedy nie wiecie, to ja wam powiem, — mó-

wił dalej starzec. — Rzeczpospolita, to ja, wy i wszyscy, co się ludźmi zwa i z nami na jednej ziemi zamieszkują. Jeżeli więc źle idzie z Rzeczpospolitą, to znaczy, że u nas jest źle i wszystko spaczone. Poprawmy więc siebie, rogałą pychę wygnajmy z siebie, uznajmy się maluczkimi, dostojność swoją oprzyjmy nie na samym herbie, ale na poczciwym postępowaniu, na chrześcijaństwie, które braterstwo zaleca, a złe zginie samo przez się i Rzeczpospolita zajaśnieje w całym blasku swojej godności i potęgi. Wóz, choćby najcięższy, jedna ręka nie wydzwignie w górę, ale mnóstwo rąk w lot doprowadzi go do samego szczytu. Rzeczpospolita—to tym wozem, ciężarem napelnionym, i dlatego stoi w miejscu, bo wasze ręce za słabe, gdy reszta taka mnoga stoi za wami i patrzy z obojętnością jak się pasujecie.

W tej treści starzec mówił jeszcze długo, szlachta słuchała nie śmiejąc się sprzeciwić, wzdychała, skrobała się po czuprynach, wreszcie rzekła, że zdali wszystko na panów i tak zrobią, jak oni zalecą. Całą jednak mowę wzięto jakoś do serca, bo gąsiorki i szklanki stały puste, a o nowy napitek nie wołano,

tylko pomiędzy sobą coś markotno rozmawiano. Stach zbliżył się do starca i szepnął:

— Dobrze, ojcze Janie, powiedzieliście, bo to wszyscy głupcy jak zapisał. Gdyby byli jak ja na obczyźnie, co wróciłem..

— Jeszcze głupszy niż byłem,— domówił starzec, a Stach odsunął się i otworzył usta jak wrota.

— Co wy powiedzieliście? — zapytał dopiero po chwili.

— A boś ty potrzebny pchać się między pany, kiedyś wyrósł z chudego pacholęcia? Pragniesz za żonę kasztelanki'a w prostactwie równasz się chłopu i pchasz się w pańskie progi, jak żaba z nogą na kowadło, gdy koniowi podkowę przybijają. Pojmij ot, sobie poczciwą szlachcianeczkę, wypędź z siebie szatana, co cię pychą rozpiera, powiedz sobie żeś kmieć Boży, jak każdy inny, żeś malusi, ot, tyci jak mucha, a Bóg cię podwyższy i pobłogosławi.

Stach całej mowy wysłuchał z pokorą zacnego i rozumnego starca, wyczałował po rękach, podsadził go przy wyjezdnym do kałamaszki, a potem w domu przez cały dzień myślał i rozmyślał i w końcu tupnął nogą i sam do siebie krzyknął:

— Ma stary rację, bom też głupi, jak stołowe nogi!

Od tego czasu Stach tak spowaźniał i pomalu odmienił się tak wielce, że zdało się, iż został innym człowiekiem. Sąsiedzi zaczęli się ku niemu nawracać, lud począł go szanować, później ukochał, a gdy jedną ze szlachcianek w Popławach wyswatał za niego pan Jan, na przenosinach we dworze hulano tak zamaszyscie, że zdało się, iż ściany w nim rozepchną, a na podwórzu wywijano oberki i krakowiaki, wykrzykując co sił starczyło. Rotmistrz, pan Marcin Bugaj, był także na festynie i po oczepinach, wyprowadziwszy pannę młodą w polonezie, przyklęknął przed nią i wznosząc kielich w górę, krzyknął:

— Zdrowie panny młodej!

Na podwórzu lud wiejski powtórzył ten okrzyk gromkim głosem, jak wystrzał z moździerza; echo głos ten odbiło kilkakroć razy, wreszcie słabnąc, zginęło, a stary pan Jan całując nowożeńców, rzekł:

— Daj Boże! aby echa waszej chudoby, tak zawsze gadały.

KONIEC.

**W Imię Boże.**





# W Imię Boże.

Obrazek z dziejów starożytnego Rzymu.

przez STEFANA GĘBARSKIEGO.



WARSZAWA.

NAKLAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.

1908.

W imię Boga

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.



W imię Boże, odstęp!...



Kajus, młody gladyator, zdziwił się niezmiernie, gdy w przeddzień wielkich igrzysk, które na cześć Dyoklecjana dać miano w Rzymie, zjawił się w podziemiach cyrkowych prefekt stolicy i oznajmił, że chce się z nim widzieć. Zwierzchnik nad setką gladyatorów, wyćwiczonych do walki orężnej, skłonił się i przed oblicze dostojnika przyprowadził młodzieńca o miłej powierzchowności, zgrabnego w ruchach, jakby z brązu odlanego.

— Tyś jest Kajus, gladyator? — zapytał prefekt.

— Jam jest! — odrzekł tenże.

— Pójdiesz ze mną.

Młodzieniec skłonił się, i po chwili wraz z dostojnikiem szli przez ulice miasta.

Dziwi cię zapewne, dlaczego wziąłem cię z sobą, lecz przestaniesz się dziwić, gdy ci powiem, że pragnę, abyś mi służył dziejszej nocy twą dzielną prawicą.

— Rozkazuj, panie! — odrzekł młodzieniec.

— Czeka cię nagroda, gdy zachowasz tajemnicę dzisiejszej wycieczki naszej i gdy ręka ci nie zdrąży, jeśli każe ci uderzyć wroga. Słyszałem, żeś ty najdzielniejszym szermierzem na miecze. Usługi oddać mi możesz!..

Szli ulicą, prowadzącą na Kapitol, gdzie w pobliżu wznosiła się świątynia pogańska, w której sam arcykapłan Jowiszowi i Izydzie ofiary kładał.

Prefekt szedł przodem, a za nim, podobny do pięknego posągu, postępował młody gladyator. Na pięknym jego obliczu widniało zaciekawienie.

Wkrótce weszli do wspaniałego wnętrza świątyni pogańskiej, błyszczącej od złota i drogich kamieni.

Musimy się zobaczyć z arcykapłanem, poczekajmy więc za tym filarem.

Przystanęli. Wieczór schodził już z góry, promienne światło dnia gasło; za chwilę mroki zapanują nad Rzymem.

Wtem w głębi świątyni ukazał się starzec siwo-



włosy, o surowem spojrzeniu, o brwiach nastrzępionych, czole nachmurzonym.

— Na Jowisza! córka twoja, dostojny panie, została oczarowana...

Prefekt westchnął.

— Jakto, — zapytał z niepokojem w głosie, — więc odmawia złożenia ofiary na cześć Izdydy?

— Zgodziła się, ulegając moim namowom i pogrożkom, gdyż aż do tego środka musiałem się uciec.

— Więc się zgodziła!—powtórzył uradowany prefekt.

— Oto ona... usuńcie się w głąb... idzie złożyć ofiarę bogini.

W istocie z za filarów wyszła dziewczica wielkiej urody i niosąc wieniec kwiatów oraz różne dary, zbliżała się do posągu, wyobrażającego boginię pogańską.

Za tą pełną wdzięku i słodczy w spojrzeniu dziewczicą, postępowwały w pewnem oddaleniu dwie niewolnice, trzymając wachlarze swej pani.

Arcykapłan postąpił kilka kroków naprzód i ukazując się córce prefekta, rzekł:

— Śmiało, Klaudyo, złóż ofiarę Izdydzie! Jeśli nie

uczynisz tego, bogini mścić się będzie na tobie i twoich najbliższych, straszna czeka was przyszłość.

Teraz dopiero można było widzieć wielką walkę wewnętrzną, jaka odmalowała się w oczach i w całej postawie młodej Rzymianki.

Stała przed posągiem pogańskiego bóstwa i cała drżąca szeptała coś z cicha.

— Wymów głośno słowa czci dla bogini...— nalegał arcykapłan.

Dziewica milczała.

— Rozkazuję ci, mów głośno!— nalegał arcykapłan.

Wtedy dały się słyszeć słowa wypowiedziane z mocą:

— Nigdy nie oddam czci bogom innym oprócz Boga Wiekuistego, Pana Zastępów Anielskich i Ojca wszystkich ludzi... Wasze bóstwo, na którego cześć codziennie wyprawiacie straszne igrzyska, podczas których płyną łzy i krew ludzka, te bóstwa wasze nie warte są czci mojej...

Umilkła i skłoniwszy głowę, odwróciła się do swych służebnic, poczem szybkim krokiem wraz z nimi opuściła świątynię.

— Słyszałeś! — zawołał arcykapłan, — słyszałeś,

dostojny panie, tak dłużej trwać nie może... Córka uledek musi, w przeciwnym razie zginie... Radź więc, póki czas...

Prefekt pochylił zasepione czoło.

— Cierpliwości, — wyrzekł, — właśnie przyszedłem ci oznajmić, że gdyby się dzisiejsza próba z Klaudyą nie udała, ja mam środek zniszczenia w zarodku całego gniazda chrześcijan.

Arcykapłan rozpogodził się nagle.

— Mów, jakiż to środek?

— Doniesiono mi, gdzie się zbierają na swe praktyki i modlitwy... Dziś tam udam się w przebraniu, otoczony zaufanymi ludźmi i schwytam tych, którzy rzucili obrzydliwe czary na Klaudyę moją... Bez wątpienia rzucił na nią te czary Rufus, niewolnik ze Wschodu, starzec sześćdziesięcioletni, jego to nauki zmieniły serce mojej córki.

— Czyń, coś postanowił! — rzekł arcykapłan z powagą i zwolna oddalił się w głąb pozłocistej świątyni.

\*

\*

\*

Wśród cieniów nocy wszedł do podziemia orszak zbrojnych pretoryanów, z prefektem na czele. Podzie-

mia tajemne leżały za miastem; wejście do nich, wśród skał pobliskich, wskazał zdrajca Neofas, Grek, który udawał chrześcijanina.

Prefekt rozkazał, aby postępowano z wolna i ostrożnie.

— Kajus, nie odstępuj mnie! Pamiętaj, com rzekł: uderzysz tego, kogo wskażę, lecz lepiej byłoby wziąć go żywcem.

Młody gladiator brzęknął mieczem.

— Możesz zaufać mojej sile, dostojny panie! — odrzekł z mocą.

Szli długo, mając na czele Greka Neofasa, który znał wszystkie zakątki podziemia.

— Kajusie, — rzekł znowu prefekt, — czyś tylko pewny, że nie ulęknieś się czarów chrześcijan?...

— Jako że po tej nocy dzień zaświta, dostojny panie!

Szli wciąż wśród ciemności, nakoniec w oddali zabłysły światła jakiegoś migotliwego i drżące.

— Tam są chrześcijanie! — rzekł Grek, zdrajca.

Śpiew dał się słyszeć uroczysty, przez głosy dziecięce, kobiece i męskie nucony. Przed skradającym się orszakami odsłonił się obraz przedziwnej piękności.

Ujrzano wzniesienie w głębi pieczary, a na niem krzyż błyszczący z wyobrażeniem Ukrzyżowanego. U stóp krzyża stał kapłan w bieli, przez wiek pochylony i z rękoma złożonemi na piersiach nucił pieśń pobożną. Dokoła niego, jak różnobarwnego kwiecia korony, pochylały się głowy wiernych, zasłuchanych w własne głosy błagalne i dźwięk srebrzysty dzwonekó w mszalnych.

Płynęła pieśń o nieśmiertelności duszy z głębin serc skruszonych, pieśń miłości i przebaczenia, którą Aniołowie Przedwiecznego chwytali i nieśli do tronu Niebios, aby cieszyła i radowała Pana nad pany.

Dzwonki dźwięczały, niby radosna przepowiednia lepszej przyszłości, chóry wiernych wznosiły się coraz wyżej i wyżej, serca rozmodlonej gromadki, szukającej pod ziemią bezpieczeństwa, napępniało błogie uczucie zbliżenia się do Stwórcy, którego Syn Ukrzyżowany jaśniał przed nimi w koronie męczeńskiej.

Jakieś dziewczę, wzniosłszy w górę oczęta, błagało Chrystusa Pana rzewnemi słowy:

— Niech i mnie spotka śmierć okrutna, jak drogą matkę moją... I ja chcę zostać umęczoną za wiarę świętą!..

Jakiś starzec, z pochyloną skronią, bił się w piersi, mówiąc:

— Daj mi światłość wiekuistą, Boże!

Kilka niewiast wraz z dziećmi, skupionych jedna przy drugiej, nuciły pieśń modlitwy strzelistej.

Starzec-kapłan ukląkł u stóp krzyża i wznosił ramiona w górę. Modlił się, zapomniawszy o ziemi. Duszą uleciał między wybranych.

Wtem okrzyk bólu rozległ się w pobliżu. To ręka zbrojnego żołdaka zbyt szorstko chwyciła za ramię rozmodlone dziewczę.

Popłoch zapanował w podziemiu. Pogasły światła, jakby je Anieli Pańscy pogasili.

Niby stado spłoszonych gołębi, gdy jastrzęb na nie spadnie, tak rozpierzchła się gromadka chrześcijan.

— Do mnie, pretoryanie!—wołał prefekt, pieniać się z gniewu.

Lecz żołnierze jego, zwykle sprawni, teraz poczynali sobie karygodnie. Kilku nawet uklękło w zagłębieniu pieczary i podniosłszy miecze, których głównia krzyż przypominała, modlili się, jak chrześcijanie prawowierni do swego godła wiary.

— Do mnie, żołnierze!—wołał prefekt i wraz z mło-



dym gladyatorem oraz z pretoryanami chwycił bezbronne ofiary. Młody gladyator wydał okrzyk tryumfu. Białą, jak gołąb starzec, wpadł w jego ręce.

— Mam przywódcę... mam czarownika!... — krzyczał, szarpiąc i ciągnąc bezbronno starca przed Kajusa.

Polów udał się, Grek-zdrajca zwyciężył.

Wielu chrześcijan wpadło w ręce prefekta. Zachowywali się oni z godnością, łagodnością i pokorą wielką.

— Jesteśmy sługi Chrystusa!—brzmiała ich odpowiedź.—Czyńcie z nami, co chcecie, nie wyrzekniemy się krzyża...

— Nagrodzę cię złotem i uczynię wolnym! — rzekł prefekt do młodego gladyatora,—albowiem przez schwytnie arcykapłana chrześcijan, wyświadczyłeś wielką przysługę cesarowi.

\*

\*

\*

W cyrku lud szalał, jak spienione morze, roznamiętniony krwawymi widowiskami, które Maksymian na cześć Dyoklecjana, urządził, nie skąpiąc złota.

Oczekiwano z niecierpliwością wielkich walk gladiatorów, które się miały niebawem rozpocząć. Właśnie sprzątało z areny zabitych w ostatnim igrzysku chrześcijan, gdy sam Dyoklecjan ukazał się w łożu i dał znak do rozpoczęcia zapasów cyrkowych.

Na arenę wystąpiło kilkudziesięciu silnych, tryskających zdrowiem młodzieńców, uzbrojonych jak do boju. Okrzyk zachwytu rozległ się dokoła, gdy się dzielili na dwa szeregi, ażeby następnie uderzyć na siebie.

U wejścia do podziemi cyrkowych stał prefekt Rzymu. Chmura gniewu malowała się na jego czole. Przed nim, pochylony, starzec jakiś powtarzał z cicha:

— W imię Boga!

— Pamiętaj, że zginiesz za chwilę śmiercią okropną, w szponach lwa, jeśli nie wyznasz, coście uczynili z córką moją Klaudya?... Ostatni raz zapytuję cię, powiedz, czem ją urzekliście, że do was się przyłączyła?...

— Nic ci, panie, powiedzieć nie mogę nad to, co powiedziałem. Klaudya jest od dawna chrześcijanką.

— Jakim sposobem ty, z niewolnika, stałeś się kapłanem chrześcijan, Rufusie?...

— Bóg tak chciał! — odparł starzec z godnością.  
W tej chwili przesunął się obok nich młody gladiator, kształtny, niby z bronzu odlany.

— Kajusie, — rzekł prefekt — ten starzec, którego wówczas pochwycałeś w podziemiu, nie nie wyjawiał... Nawet czarów z mej córki zdjąć nie chce...

— Niech więc idzie na strawę lwom, jeśli zechcą się jąc jego starych kości...

Rzekłszy to, młody gladiator z pogardą spojrział w oblicze starca i szybko wbiegł na arenę.

Tam już kończyła się pierwsza część widowiska. Na piasku leżało kilka ciał poległych w igrzyskach gladiatorów; obecnie miały się odbyć zapasy pojedyncze. Najpierw miał walczyć z siłaczem słowiańskim młody Kajus, a później jeden z jego towarzyszy z panterą.

Właśnie cyrk zadrzał od oklasków i okrzyków, bo młody Kajus z nieporównaną zręcznością natarł na olbrzymiego Słowianina. Miecz młodego Rzymianina ciaskał błyskawice, wzrok iskrzył się zapalem, a całe oblicze tchnęło pewnością zwycięstwa. Zapaśnik jego, niby niespodzianie obezwładniony tą nadzwyczajną zręcznością Kajusa, cofał się, z trudem odpierając jego ciosy.

Oczy tego gladyatora przymrużone były, jakby je zga-  
siło płomiennie spojrzenie przeciwnika. Kajus tryumfo-  
wał, nacierając coraz silniej na olbrzyma, który wciąż  
cofał się, jak tur śmiertelnie przez myśliwca zagrożony.

Kajus miał tarczę szeroką, miecz w dłoni i hełm  
na głowie, wyglądał jak uosobienie Marsa, bożka woj-  
ny. Przeciwnik jego walczył, jako tak zwany gladya-  
tor-rybak, trzymając w ręku ostry trójząb, rodzaj wi-  
deł, któremi po oplątaniu w sieci przeciwnika miał go  
przebić.

W zapasach takich, gdy jeden starał się wydrzeć  
życie drugiemu, obeszli prawie do końca arenę i zbli-  
żyli się do miejsca, gdzie niedawno stał prefekt, a obe-  
cnie w postaci skulonej klęczał starzec, kapłan chrze-  
ścijański. Nagle stała się rzecz niespodziewana. Ustę-  
pujący wciąż przed naporem miecza Kajusowego gla-  
dyator-rybak, odskoczył nagle na bok i niby tygrys  
sam natarł na przeciwnika.

To jego nagle przejście z stanu obronnego do  
nacierającego nadzwyczaj zmieszało Kajusa.

Mieczem zakreślił krzywą linię w powietrzu, po-  
chylił się gwałtownie i nagle poczuł, że zdradziecka  
sieć omotała go niby w wodzie nieostrożną rybę.

Jednocześnie silne pchnięcie powaliło go na ziemię.  
Padł u stóp zwycięskiego Słowianina.

Ten, zagrzany walką, stanął jedną nogą na jego piersi i gotował się ostrym, strasznym trójzębem przeżyć mu serce.

W cyrku zapanowała cisza. Zdawało się, że widzowie przemienili się w posągi marmurowe. Chwila, a młody Kajus, dotychczas ulubieniec tego tłumu, zginie.

Olbrzym już wzniosł zabójczą prawicę, już cios wymierzał. Wtem, niby duch z sfer zaziemskich, podniósł się starzec w białych szatach i wstrzymał dłoń zabójczą olbrzyma.

— W imię Boże, odstęp!... Bóg chrześcijan każe miłować bliźnich!...

Wpostawie starca tyle było godności, wzrok jego wyrażał takie jasne uczucie, że olbrzym opuścił prawicę i puścił wolno Kajusa, nie uczyniwszy mu żadnej krzywdy.

On wstał i jak człowiek nagle wyprowadzony z ciemnicy, spoglądał dokoła, zbierając myśli. Wtem wzrok jego padł na oblicze starca, który znów klęczał z boku areny, i nagle zajaśniał wdzięcznością.

Kajus chciał się rzucić do nóg swego wybawcy,

lecz tłumy niezadowolone z rozwiązania walki, ryczały, żądając nowych igrzysk.

Jakoż wypuszczono dzikie zwierzęta i wprowadzono gromadkę chrześcijan, do której zaraz zbliżył się znany nam starzec-kapłan.

Kajus zadrżał: byli to ci chrześcijanie, których on pomagał w podziemiu oddawać w moc prefekta. Przysłonił ręką oczy, ustępując z pola walki, a gdy je po chwili odsłonił, ujrzał straszny obraz śmierci męczeńskiej na arenie. Starzec a wraz z nim gromadka chrześcijan już nie żyli.

Wtedy uczuł, że stało się z nim coś niepojętego. Więc on przyczynił się do śmierci tych niewinnych?... do śmierci tego starca, który mu uratował życie?...

Kajus ukrył twarz w dłoniach, zaszlochał, jak dziecko, a później wybiegł, jak szalony na ulice Rzymu. Błąkał się dzień cały, nie mogąc się uspokoić, a gdy noc zapadła, udał się do chrześcijan, aby im oznajmić, że przyjmuje ich wiarę.

Był on później jednym z najgorliwszych siewców Słowa Bożego na dalekim Wschodzie.

\*

\*

\*



Prefekt stolicy, potężny i możny patrycyusz opływający w dostatki, zazdrości ostatniemu nędzarzowi, który może uściskać swe dziecko; on, na którego skienienie straż zbrojna podnosi setki mieczów. jest pozabawiony tej pociechy, on nie wie nawet, gdzie się jego jedyna córka Klaudya znajduje.

Nadaremnie śle na zwiady najsprytniejszych ludzi, nadaremnie odbywa dalekie podróże, wypytuje przejezdnych kupców, obiecuje nagrody, Klaudya, od owego pamiętnego wieczora, gdy ojciec jej wydał na męki kapłana chrześcijan wraz z garstką wiernych, zniknęła bez śladu. Nikt z domowników nie wiedział, gdzie się podziała.

Prefekt składał kilkakrotnie ofiary na cześć Junony to znowu u stóp posągu Izydy, błagając, ażeby wróciły mu córkę, lecz nadaremnie.

Wreszcie gdy nastaly chmurne dni jesienne, a o córce żadnej wieści nie było, smutek jego przebrał miarę, zamienił się w rozpacz. Zgnębiony prefekt zwrócił się wreszcie do Boga chrześcijan, czyniąc w głębi ducha swego ślub, że jeśli córkę odnajdzie, uwierzy w Chrystusa.

I zdarzyło się, że wkrótce wybrał się na Wschód,

gdzie wiele pustelni chrześcijańskich istniało, ażeby zasięgnąć rady u któregokolwiek z pobożnych pustelników.

Wieczór zapadał, gdy wraz z przewodnikiem zbliżał się do niewielkiej oazy, gdzie kilkanaście świątobliwych niewiast prowadziło życie na cześć Bogu poświęcone.

— O, gdybym tak między niemi odnalazł córkę moją!...—westchnął i smutnie zwiesił głowę.

Gdy podniósł oczy, ujrzał nagle w oddali postać niewieścią, która z dzbankiem w ręku szła do poblizkiego źródła.

— To ona! to Klaudya!

Przyśpieszył kroku i spiesznie zbliżył się za nią do źródła, poczem zmieniając głos, cały wzruszony zapytał:

— Czy nie znasz, dobra dziewczyno, Klaudyi, córki prefekta Rzymu?

Na ten głos i na to pytanie dziewczyna drgnęła, oblicze jej, na którym malowało się cierpienie, nagle radość rozjaśniła.

— Kto jesteś ty, że o Klaudyę pytasz? — rzekła, spoglądając na nieznanomego.

— Ojcem jej...

Wtedy wypadł dzban z rąk Klaudyi, kolana ugięły się pod nią.

— Przebacz mi, przebacz... — zawołała, — tuląc się do uszczęśliwionego ojca.

On podniósł ją i do serca przycisnął.

— Nie trwórz się, dziecię moje, od tej chwili wyznaję twego Boga.

\* \* \*

I upłynęło lat kilkanaście. Nad państwem rzymskiem zapanował Konstantyn Wielki, a wraz z nim zatryumfowała wiara Chrystusa Pana nad światem pogańskim.

K O N I E C .









574318 140 ✓

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14

111072